MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 13 WARSZAWA, 28 MARCA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

REWOLUCJA NARODOWA

GDY SIĘ u nas mówi o tem, że w różnych krajach europejskich odbyły się po wojnie rewolucje narodowe, to często spotyka się z uśmiechem pełnym politowania. Przywykliśmy bowiem łączyć przewroty rewolucyjne z terrorem, przelewem krwi, gwałtami i t. p, Bez tego zaś obeszło się przy zmianach, których wynikiem było dojście do władzy żywiołów narodowych. A jednak te zmiany doprowadziły do tak wielkiego przeobrażenia stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych, że słusznie można je nazwać rewolucyjnemi, jak to już dziś każdy stwierdzić może.

Bardziej jednak jeszcze, niż następstwa wskazanych wyżej przemian, pozwala mówić w zastosowaniu do nich o rewolucji to, że są one wynikiem bardzo głębokiego przeobrażenia w umysłach ich sprawców. Ażeby ruchy narodowe mogły w Europie powojennej dojść do władzy, musieli ich inicjatorzy i twórcy przeżyć rewolucję w duszach, musieli zerwać z podstawowemi ideami, na których opierało się życie narodów europejskich w wieku XIX-ym. Ażeby przedstawiciele i przywódcy ruchów narodowych u władzy raz zdobytej się utrzymali musi nastąpić głębokie przekształcenie w duszach narodów, muszą one z wieloma staremi rzeczami zerwać, a wiele nowych się nauczyć.

Bo nowoczesne prądy narodowe nie opierają się li tylko na uczuciach patriotycznych ludności, na tem, że szerokie warstwy dochodzą do świadomości politycznej i społecznej, uczą się jednocześnie rozumieć interesy narodowe i odczuwać miłość ku swej ojczyźnie... Nowoczesne prądy narodowe opierają się na pewnych zasadach, na pewnych poglądach na człowieka i na jego życie.

Nie możemy tu szeroko rozwijać tego, co możnaby nazwać filozofią nacjonalistyczną, bo trzeba by rozważać kolejno wszystkie wielkie zagadnienia dotyczące życia jednostki i zbiorowości ludzkiej, a na to nie mamy tu miejsca. Powiemy więc tylko krótko, że po okresie materializmu i indywidualizmu przyszedł okres stawiania ducha ponad materią i zbiorowości ponad jednostką. Ma się ku końcowi okres rozpoczęty w Europie Odrodzeniem, rozpoczyna się okres nowy, pod pewnemi względami nawiązujący do średniowiecza.

Jak zawsze, tak i obecnie warunkiem przeobrażeń w życiu są przemiany w umysłach. Najbliższym i najbardziej typowym przykładem, wyjaśniającym i potwierdzającym prawdę powyższą, są dzieje t. zw. Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Poprzedziła ją rewolucja ideowa, której sprawcą był przedewszystkiem Rousseau, a potem szkoła Encyklopedystów. Narzucili swe poglądy nietylko warstwom nowym, dobijającym się roli politycznej i społecznej, lecz także tym warstwom, które były podstawą *ancien regime*'u. Wiemy już dziś dokładnie, jak wielką rolę odegrały pod koniec XVIII wieku we Francji różnego rodzaju stowarzyszenia i związki tajne, kierowane przez wolnomularstwo, a zajmujące się szerzeniem i krzewieniem nowego światopoglądu. Wynikiem i następstwem przewrotu wywołanego przez nie w umysłach były wypadki, które zmieniły do gruntu organizację państwa i społeczeństwa.

Można wskazać analogię tego, co się dzieje

w wieku XX z tem, co się stało w końcu wieku XVIII we Francji, a potem w innych krajach. Tylko, że dziś patrzymy na radykalną reakcję przeciwko tym poglądom i dążeniom — jakie istniały wówczas. Bo wówczas był okres zwalniania się jednostki z więzów nałożonych na nią przez Kościół, państwo i społeczeństwo; dziś zaś szerzą się dążenia do tego, by ponad interesami jednostki postawić interesy najrealniejszej zbiorowości, jaka istnieje—narodu.

*

Jeśli się rozejrzyć w naszych polskich stosunkach, to mimo, że nowoczesny ruch narodowy ma poza sobą już więcej niż pół wieku pracy, mimo że inicjatorzy tego ruchu w niejednem wyprzedzili analogiczne ruchy na zachodzie Europy, w szerokich sferach społeczeństwa jest jeszcze zbyt małe zrozumienie istotnych podstaw i zasad narodowego sposobu myślenia.

Ruch narodowy pociągnął ku sobie szersze sfery przedewszystkiem przez odwołanie się do uczuć narodowych, zyskiwał zwolenników przez to, że podjął walkę z najazdem. Dla wielu wszakże z pośród tych, którzy z nim współpracowali jego nurt nacjonalistyczny był obcy i niezrozumiały. Pamiętamy wszak dobrze ile sprzeciwów i krytyk właśnie w obozie patriotycznym wywołały takie książki, jak „Egoizm narodowy" Zygmunta Balickiego, lub też „Myśli nowoczesnego Polaka" Romana Dmowskiego.

Dziś jest już wprawdzie inaczej, bo przyszły młode pokolenia, które weszły w życie publiczne po doświadczeniach wielkiej wojny i mają inny nieco, niż pokolenie starsze, sposób odczuwania i myślenia. Lecz jeśli się rozejrzeć w stosunkach współczesnych, jeśli posłuchać tego, co się mówi, lub poczytać to co się pisze, to trzeba dojść do wniosku, że mimo iż znakomita większość Polaków przyznaje się do prądu narodowego, mają jednak jeszcze szeroki wpływ w opinii zasady kończącego się okresu.

Polska miała wprawdzie także (w r. 1926) swoją rewolucję antydemokratyczną i antyparlamentarną. Lecz inicjatorzy tej rewolucji nie byli wyznawcami nowych idei i nowej wiary politycznej i społecznej, wiary narodowej (w ścisłem tego słowa znaczeniu, a więc dla dokładności powiedzmy — nacjonalistycznej). Dlatego to uważamy, że wolno nam powiedzieć, — że rewolucja narodowa nie jest jeszcze w kraju naszym dokonana. Obejmuje ona coraz szerzej społeczeństwo, obóz zaś rządzący od lat kilkunastu, dopiero w r. 1936 wszedł nieśmiało na drogi do niej prowadzące.

Ażeby w Polsce mogło się dokonać całkowite przekształcenie w sensie nowoczesnym, ażeby zapanował wszechstronnie prąd narodowy, na to jest potrzebne dokonanie prawdziwej r e w o l u c j i n a r o d o w e j w umysłach większości Polaków. Musimy zerwać ze sposobem myślenia i odczuwania minionego okresu, musimy zapewnić panowanie w umysłach zasad nacjonalizmu nowoczesnego, jeśli chcemy, ażeby dokonała się w Polsce rewolucja narodowa, będąca niezbędnym warunkiem tego, by państwo polskie stanęło do współzawodnictwa z innemi państwami europejskiemi, by naród polski wypełnić mógł swą misję dziejową.

STANISŁAW KOZICKI

CYWILIZACJA BIZANTYŃSKA

(ODCZYT WYGŁOSZONY W WARSZAWIE W DOMU KATOLICKIM 11 LUTEGO 1937 R.)

CYWILIZACJA bizantyńska nie powstała bynajmniej z rzymskiej, ani choćby jako jej odszczepieństwo czy poniekąd przeciwieństwo; rodowód jej na Wschodzie, a geneza w cywilizacji hellenistycznej. Można się spotkać nawet ze zdaniem, jako jest ona poprostu ciągiem dalszym hellenistycznej, wtłoczonej w chrześcijaństwo. Mniemanie takie rozwieje się atoli, skoro tylko określimy ściśle cechy obu tych cywilizacji, czego dotychczas, niestety, nie próbowano.

Przez cywilizację rozumiem metodę ustroju życia zbiorowego. Do cywilizacji należą wszelkie a wszelkie przejawy życia, od sztuki do polityki, od poezji do nauk ścisłych, od filozofii do zwyczajów powszedniego życia i ubiorów. Niezmierzona rozciągłość faktów życiowych rozciąga się jeszcze bardziej i mnoży nadzwyczajnie w ostatnich stuleciach, bo rozwój cywilizacji nie na uproszczeniu polega, lecz wywołuje coraz większe komplikowanie się, coraz więcej zawiłości. Powstają nowe myśli, nowe sytuacje i powikłania, nieznane poprzednim pokoleniom. Jakże się orientować w tym ogromie i w nieskończonej rozmaitości na tle ogromu? Gubią się w tem uczeni, statyści, moraliści, głowią się nad jakąś nicią przewodnią, ilekroć mają wkroczyć w labirynt życia zbiorowego.

Wszystko daje się atoli ułożyć w ład i system, wiodący do zrozumienia ludzkich spraw, jeśli zastanawiając się nad cywilizacjami, przykładać będziemy do rzeczy ludzkich miary czerpane z *quincunxa* ludzkiego bytowania. Dwa z nich dotyczą ciała, mianowicie kategorie zdrowia i dobrobytu; dwa pochodzą z ducha: kategoria Dobra (moralności) i Prawdy (przyrodzonej i nadprzyrodzonej); pośrednią zaś kategorię stanowi Piękno, dotyczące równocześnie ciała i duszy, przemawiające do umysłu za pomocą zmysłów. Niema żadnego a żadnego, niema ani jednego objawu życia, któreby się nie mieściły w tym *quincunxie*; mieszczą się w nim wszystkie myśli i uczucia i wszelkie czyny. Nie zdoła nikt wymyśleć niczego, coby nie należało do jednej z wyliczonych pięciu kategorii bytu ludzkiego.

Tak się mają rzeczy w cywilizacji komplet-

nej, rozwijającej się kompletnie, ale są cywilizacje defektowne, obchodzące się bez tej lub owej kategorii; np. żydowska cywilizacja nie uprawia niemal wcale Piękna, turańska nie wie zgoła o możliwości dochodzenia Prawdy przyrodzonej, i t. d. nie mówiąc o cywilizacjach prymitywnych, które zazwyczaj (chociaż nie zawsze) bywają wielce defektywne. Nawet posiadając wszystkie pięć kategorii, można je pielęgnować i rozwijać bardzo nierównomiernie; może zachodzić przerost jednej z nich, gdy druga będzie równocześnie pogrążona w niedorozwoju. Np. w Sparcie przerost troski o zdrowie, w Atenach przerost estetyki. Rzadko kiedy — czy u jednostek czy też w zrzeszeniach — obserwować można jednakowy równomierny w danym czasie rozwój wszystkich kategorii.

Nie o równomierność też chodzi, lecz o współmierność. Wszystkie kategorie winny być uprawiane tą samą metodą, jeżeli mają się złożyć na harmonijną całość cywilizacji. Nie można inną metodą przykładać się do rozwoju moralności, a inną do rozwoju dobrobytu. Współmierność stanowi warunek do tego stopnia niezbędny, iż runie cywilizacja (a runęła już niejedna) gdy ten warunek zawiedzie. Nie da się niczego robić równocześnie i od jednego razu rozmaitemi metodami. To najprostsze prawidło działania jest zarazem najwyższem prawem Historji: n i e m o ż n a b y ć c y w i l i z o w a n y m r ó w n o c z e ś n i e n a d w a s p o s o b y. Jest to przeciw samej naturze rzeczy; toteż gdzie się tego próbuje, wytwarza się groźny stan acywilizacyjny. Jedna metoda przeciwstawia się drugiej, a zatem, co jedna wytworzy, to druga niszczy.

W rozmaitych cywilizacjach cały byt ludzki przedstawia się odmiennie. Nie prawda, jakoby natura ludzka była wszędzie jednaka! Bywają różnice większe i mniejsze, to w tej, to w owej kategorii, lecz czasem we wszystkich. „Natura" zaś ludzka do tego stopnia bywa niejednaka, iż nawet pojęcie świętości w każdej cywilizacji jest inne; np. w turańskiej uważa się obłąkańców za świętych. Inne bywa pojęcie własności, inny układ życia rodzinnego, i co najbardziej godne uwagi, podobne sytuacje budzą w rozmaitych cywilizacjach wcale nie podobne uczucia; ani nawet stosunek rodziców do dzieci nie jest bynajmniej wszędzie jednakowy, nie mówiąc już o stosunku męża do żony. Jak każda rasa miewa swoje pokarmy i swoje choroby, podobnież każda cywilizacja (od rasy nie zależna) ma swoje poglądy, swoje odmienne przyczyny zadowolenia i niezadowolenia, swe odrębne radości i troski.

Odmiennym stosunkiem do pięciu kategorii bytu odróżniają się od siebie cywilizacje choćby najprymitywniejsze. Nieco rozwinięte, chociażby jeszcze wcale prymitywne, różnią się trójprawem, t. j. odmiennością prawa familijnego (z małżeńskiem), majątkowego i spadkowego — zatem w dziedzinach prawa prywatnego, uzupełniających się wzajemnie i wymagających bezwarunkowo współmierności. Na dalszych szczeblach rozwoju — do których już nie wszystkie cywilizacje doszły — następujące różnicowanie według tego, czy istnieje osobno prawo prywatne a osobno publiczne, czy też obie te dziedziny są pomieszane. O różniczkowaniu zaś cywilizacji najwyżej rozwiniętych roztrzyga zapatrywanie, czy supremacja w ustroju życia zbiorowego ma pozostawać przy siłach duchowych, czy też duchowe mają być poddane fizycznym, t. j, że siły moralne dopuszczane bywają do głosu i rozwoju o tyle tylko, o ile mogą się wysługiwać siłom materialnym.

Oto zrąb rusztowań, na jakich wznoszą się wszelkie cywilizacje.

Ponieważ nie można być równocześnie cywilizowanym na dwa sposoby, a zatem niema też syntez między cywilizacjami. Mogą być tylko syntezy między rozmaitemi odmianami tej samej, gdzie tedy niema różnic zasadniczych, gdzie niema kierunków życia rozbieżnych, nawzajem się wykluczających. Odmiany takie nazywamy kulturami, np. kultura angielska, francuska, polska w cywilizacji łacińskiej; turecka, afgańska w cywilizacji turańskiej i t. p. Do niczego zaś nie prowadzi historyczne i socjologiczne odróżnianie duchowych a cielesnych czynników w życiu i stąd nazywanie jednej grupy cywilizacją, a drugiej kulturą — gdyż w rzeczywistości nigdy żadna z nich nie występowała oddzielnie. Rzekoma oddzielna działalność każdej z tych dwóch grup jest pomysłem literackim. W rzeczywistości nie zbuduje nikt Kościoła, kto nie zbierze na ten cel pieniędzy — i tak jest we wszystkiem.

Niema syntezy między cywilizacjami, a jednak poszukiwanie jej stanowi większą część Historii! Na takich właśnie próbach zmarnowała się cywilizacja ateńska, następnie rzymska, a potem znowu w wiekach nowszych zmarnowały się Polska i Rosja. Ten obłęd powszechno - dziejowy powstaje zaś z następującej przyczyny: Zawiera się ona w drugiem wielkiem prawie historii, które opiewa, ż e c y w i l i z a c j e s t y k a j ą c s i ę, d o p ó k i t y l k o s ą ż y w o t n e, m u s z ą w a l c z y ć z s o b ą. Olbrzymia większość wojen była i jest — choćby nieświadomie — walkami pomiędzy cywilizacjami; antagonizmy bowiem wielkich zrzeszeń pochodzą niemal wszystkie i niemal zawsze z odmienności cywilizacyjnej. Pragnie się przeto syntez cywilizacji dla uspokojenia ludów i państw. Ponieważ atoli tendencje te skazane są z góry na niepowodzenie, więc wszystko, co się robi w imię zjednoczenia cywilizacji, składa się z kroków fałszywych i z akcji mylnej; to wszystko nie tylko jest złudzeniem, ale co gorsze wydaje skutki wręcz przeciwne zamierzeniom, a ludy poddające się takim eksperymentom zapadają w stan acywilizacyjny. Carl Ludwig Michelet (następca Hegla na katedrze) marzył o tem (w r. 1859), że ludzkość cała zamieni się w jedną rasę (ta jedna powszechna rasa miała wyjść z Ameryki); iluż pisarzy — i to we wszystkich cywilizowanych językach — marzy o tem, że całą kulę ziemską ogarnie jedna cywilizacja.

Otóż cywilizacja hellenistyczna miała być syntezą ateńskiej z cywilizacjami Azji Mniejszej, zwłaszcza z perską.

Zasadnicze rożnice tych dwóch światów wiadome były dobrze obojej stronie. Nie pociągała Persów ani sztuka, ani nauka helleńska, wyobrażenia zaś o życiu były wręcz przeciwne. Jeszcze gdy się sposobili do wojen perskich w pierwszem, że tak powiem — wydaniu, ażeby odpierać najazdy Xerxesa i Dariusza, pomiędzy hasłami antagonizmu umieszczony był na pierwszem miejscu „król" — nie trzeba było dodawać, że perski! — bo był władcą absolutnym, którego rozległe państwo zaludnione było nie obywatelami, lecz poddanymi: król który miał wszelkie prawa i prawo do wszystkiego, do którego zbliżyć się wolno było tylko padając na twarz; król ubrany w najkosztowniejsze

stroje, z klejnotami nawet na obuwiu, a uznawany za bóstwo, król deifikowany. W oczach Greków nie budziło to ni czci, ni trwogi: takie królestwo stanowiło dla nich coś zabawnego, coś ogromnie nierozumnego i niegodziwego; brzydzili się tem i pogardzali.

Wnet po owych przesławnych wojnach perskich wołano w Grecji o ich kontynuację na azjatyckim lądzie, żeby zapewnić wolność greckim miastom przednioazjatyckim i wziąć odwet na najeźdźcach przeciwnym ze swej strony najazdem. Najdonioślejszym stał się głos Isokratesa w r. 380, który też wskazał w końcu Filipa macedońskiego jako głównego stratega w tej wyprawie panhelleńskiej. Dokonać dzieła miał atoli dopiero Aleksander Wielki, rozszerzywszy wielce plany ojcowskie. Ostatecznie wynikło z tego wszystkiego postanowienie, żeby założyć państwo uniwersalne pod hegemonią Macedonii, a więc pod hegemonią grecką.

Cóż bardziej obce duchowi helleńskiemu, jak pojęcie państwa uniwersalnego? Aleksander przejmował perski ideał polityczny. Niebawem przyodział się w ceremonialne szaty „króla" i od Egiptu po granice Massagetów przemienił się wszędzie w następcę pokonywanych władców, przejmując wszędzie pojęcia orientalnych państwowości. Spostrzegł się, że tam na Wschodzie da się panować i rządzić tylko po wschodniemu, że władza jego znajdzie uznanie pod tym tylko warunkiem, iż on sam, który Homera umiał na pamięć i który marzył, żeby być wskrzeszonym i wcielonym Achillesem, on, uczeń Arystotelesa, przemieni się w Egipcie i w Azji w boga na tronie, w pana wszechwładnego życia i śmierci swoich poddanych, w despotę orientalnego, przed którym należy drżeć i nie zbliżać się inaczej, jak leżąc u nóg władcy w prochu, padając na twarz. Żołnierze jego (nietylko oficerowie) dziwili się z początku, potem burzyli się. Bo też nawet w Sparcie król nie był niczem więcej, jak pierwszym współobywatelem! Toteż Aleksander zwalniał Greków od całego tego ceremoniału — gdy byli sami bez świadków z Orientu. Takich chwil bywało niewiele a Grecy długo nie mogli zrozumieć, że wolno im nie brać tego na serio, ale powinni i muszą to robić ze względu na rację stanu.

Zadajmyż sobie pytanie, czy możliwa była synteza między greckim systemem politycznym „miast" a monarchią uniwersalną, między państwowością opartą na obywatelskim duchu, a drugą państwowością, polegającą na poddańczości wprost niewolniczej, którą się w danym razie wymusi gwałtem, przemocą? Gdzie synteza pomiędzy miłującym wolność Ateńczykiem, a Syryjczykiem lub Persem, nie posiadającym zgoła pojęcia, co to wolność? Toteż Aleksander i jego następcy rozumieli ową syntezę w taki sposób, że państwo będzie orientalne, ale oświata grecka. Było to mechanicznem ustawieniem obok siebie dwóch żywiołów, nie zdatnych absolutnie do żadnej wspólnoty. Musiało to pozostać na zawsze mieszanką mechaniczną.

Zważmyż, że gdyby te ludy wschodnie przejęły się grecką oświatą, gdy im drogi był Homer, Sofokles i... Arystofanes, gdyby się uczyć mieli od Pytagorasa czy Arystotelesa, musieliby nabierać innych pojęć o życiu zbiorowem, a zatem podkopaliby sami w sobie swoje pojęcia orientalne o państwie. Jeżeli Orient nie miał zatrzeszczeć w samych posadach, grecka oświata musiała pozostać dlań czemś... egzotycznem. Najinteligentniejsi z nich mogli byli to podziwiać, ale uprawiać to, zsolidaryzować się z tem żadną miarą; co najwyżej poduczyli się języka greckiego.

Jednak wysilano się ciągle na robienie syntezy. Powzięto myśl śmiałą, a jak długo sądzono, doskonałą, niezawodną. Uznając, że najbardziej do głębi człowieka sięga religia, bo z religii czerpie się i pojęcia i wyobrażenia, osądzono że synteza Zachodu i Wschodu nastąpi niezawodnie, skoro tylko zrobi się... syntezę religijną. Robiono takie eksperymenty przedtem niegdyś w Egipcie, a powtórzył doświadczenie Ptolomeusz I egipski w porozumieniu z Lisimachem trackim, panującym także nad Frygią. Przyzwawszy z Hellady Tymoteusza Eumolpidę z Eleusis, reformatora kultów Izydy i Attisa, przerabiano z jego pomysłu Serapisa na Zeusa i próbowano syntezy wierzeń helleńskich z azjatyckiemi, starając się jednak ścieśniać pierwiastek azjatycki. Pozornie przyjęło się to, bo nie szczędzono świątyń, ale ten religijny synkretyzm, wzmagając się coraz nowemi dodatkami, czerpanemi zewsząd a gorliwie w imię syntezy, doszedł po krótkim czasie do absurdu niegodnego Hellady, a obniżającego hellenistyczność. Religii nie da się tworzyć sztucznie, a kompromisowe pół — na pół nie jest żadną syntezą, i świadczy tylko o braku rzetelnej wiary z obojej strony, ostatecznie zaś wiedzie z nieuchronną konsekwencją do areligijności. Ptolomeusz i Lysimach znajdowali naśladowców na wszystkich tronach małej Azji, ale z takim tylko skutkiem, iż zaczął się w najlepsze rozpleniać zabobon, nawet wśród greków.

Grecy tamtejsi zaczęli się cofać cywilizacyjnie w tej mieszance mechanicznej. Gdzie panoszą się mechanizmy, tam organizmy wietrzeją. Życie zbiorowe zdatne jest do rozwoju wyłącznie wśród organizmów i samo państwo organizmem być winno, a nie mechanizmem. Oto bowiem trzecie wielkie prawo dziejów: tylko organizm wydaje kulturę czynu, tj. stałą zdolność do czynów rozumnych — więc to, co stanowi najwyższy szczyt w rozwoju życia. Mechanizm może być również długotrwałym, mogą się wytwarzać wielkie nawet państwa z sił mechanicznych (np. z militaryzmu), ale po niedługim czasie nastaje w nich niepowstrzymany zastój, na którego tle niema mowy o kulturze czynu. Ścieżki ducha porastają tam apatią, tą rdzą przeżerającą w końcu nawet najmocniejsze mechanizmy.

Dużo greckiego piękna wyozdobiło Orient, lecz sztuki plastyczne wzmagały się tylko ilościowo. W Aleksandrii nie brakło uczonych, a rozwijały się już także nauki przyrodnicze, lecz nie dostarczyła ta uczoność niczego trwałego; dorobki jej nie wywołały żadnych prądów umysłowych takich, któreby dostarczyły Egiptowi samemu nowych sił cywilizacyjnych. Rozkwitnął w tych państwach handel międzynarodowy, jak nigdy przedtem i dobrobyt stał się powszechnym: lecz nie posiadał przemienności w siły duchowe i sam zacieśniał się niebawem do coraz szczuplejszej warstwy; a gdy nastało przesilenie, runął, a wszystkie kraje hellenistyczne ogarnęła pauperyzacja wprost niesłychana. Nie podźwignięto się z upadku, bo mechanizm raz zepsuty, sam z siebie żadną miarą się nie naprawi. Jest to przywilejem organizmów.

(D. c. n). FELIKS KONECZNY

RENEUSZ DESCARTES

W TRZECHSETLECIE UKAZANIA SIĘ „ROZPRAWY O METODZIE", 1637—1937

I

PRAWDA nie leży na drodze. Nie znajduje się na utartych ścieżkach i na wydeptanych gościńcach. Trzeba jej szukać w mozole i w trudzie, w wyrzeczeniu i zaparciu się siebie, w niepokoju i bólu. Życie człowieka oddanego poszukiwaniu prawdy nie jest usłane kwiatami, lecz kolcami, a często ukoronowaniem jego jest korona z cierni... Miast życzliwości spotyka przeważnie lekceważenie, miast pomocy — obojętność, miast uznania — pogardę. Trzeba mieć hart niebywały, by nie załamać się i wolę niezłomną, by nie sprzeniewierzyć się powołaniu, trzeba mieć pomoc boską, by móc wypełnić swe posłannictwo.

II

Zjawienie się wielkiego człowieka nie jest zjawiskiem przypadkowem, jest „zakrętem historii powszechnej". [1]), jest *sui generis* ewenementem — wypełnieniem pewnego posłannictwa, pewnego *ergon*, jak mawiali starożytni.

Czy to będzie zjawienie się Mojżesza, czy Platona, czy Cezara — wszędzie będziemy mieli do czynienia z postaciami wyjątkowymi, wytyczającymi na wieki przyszły bieg dziejów, i przyszły rozwój kultury. Cały Stary Zakon i zapowiedź Nowego znajdziemy w Pięcioksięgu Mojżesza, całą filozofię starożytną i średniowieczną znajdziemy w dialogach Platona, całe cesarstwo rzymskie i zapowiedź całego nowożytnego (a także i współczesnego...,) cezaryzmu w 25-o letniej działalności Cezara.

Mojżesz i Platon, Cezar i Chrystus, Mahomet i Ludwik IX-y — naród jedyny, dźwigający świecznik monoteizmu w powszechnym morzu pogaństwa, dialektyka Idei i filozofia Dobra powstająca na glebie mitologii i sofistyki, potężna organizacja udywinizowanego jedynowładztwa, w której topią się różnice indywidualne i narodowe, religia Miłości i Ofiary w świecie powszechnego upadku i zepsucia, religia Rozkoszy i Podboju przemieniająca półdzikie plemię pustynne w jeden z najważniejszych motorów historii powszechnej, ideał monarchy chrześcijańskiego prowadzącego swój naród do wyższych transcendentnych przeznaczeń — oto kilka etapów rozwoju cywilizacji, kilka alternatyw, wśród których odbywa się bieg dziejów.

Od Mojżesza poprzez Mahometa i Platona do Chrystusa, od Cyrusa i Cezara poprzez Karola Wielkiego do Ludwika IX-go, od prawa odwetu, pogardy dla niewiernych i ubóstwienia rozkoszy poprzez wizję Piękna i Dobra do religii Miłości i Przebaczenia, od opartego na niewolnictwie państwa ścielącego się u stóp jednostki poprzez państwo feudalne do państwa, którego pierwszą zasadą prawodawczą ma być zbawienie i miłość!

[1]) Por. Maurice Blondel — *L'Action* (*Paris 1893*). Por. też mój artykuł „Filozofia czynu i mistycyzm" („Myśl Narod. 1930).

III

Nie zrozumiemy nigdy żadnego zjawiska w historii, nie pojmiemy nigdy roli i znaczenia jakiejś wybitniejszej jednostki, jeśli nie spojrzymy na nie z tego wyższego, ponadczasowego punktu widzenia.

Nic nie dzieje się przypadkowo. Wszystko ma swój ukryty sens, ukryty cel. Opatrzność jest twórczynią historii. To, co człowiek uważa często za szczegółową zdobycz i za swe własne odkrycie, jest w istocie tylko wypływem krystalizującej się w nim Opatrzności.

Pokora i uświadomienie sobie swego posłannictwa jest najwyższym stopniem wiedzy, pycha i zarozumiałość synonimem głupoty. To wiem, że nic nie wiem, mówi Sokrates, a kacyk murzyński każe sobie oddawać cześć boską.

„Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górnie błyszczę na niebios błękicie,
Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił:
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!"

mówi Mickiewicz, a o trzech wstrząsających snach pamiętnej nocy z 10-go listopada 1619-go roku, kiedy to młody Descartes miał uczucie bezpośredniego kontaktu z niebem zapomocą swych wizji, on sam przyznaje, że „umysł ludzki nie miał w nich żadnego udziału" [2]).

Wizja twórcza systematu Descartes'a otrzymana w trzech zesłanych od Boga snach, wstrząs fizyczny i psychiczny Descartes'a po tej pamiętnej nocy 10.XI-ego 1619-go, uczynione w związku z powyższymi przeżyciami, postanowienie odbycia pielgrzymki do M. Boskiej Loretańskiej (uskutecznione faktycznie w r. 1624-ym) — oto kilka charakterystycznych faktów z życia Descartes'a, pomijanych zwykle milczeniem przez tych historyków filozofii (do niedawna, niestety, nadających ton oficjalnej filozofii francuskiej), co, głusi na prawdę, widzą w Descartes'ie jedynie założyciela nowożytnego racjonalizmu, pogromcę scholastyki, herolda hasła wolności sumienia, zwiastuna Wielkiej Rewolucji Francuskiej jednym słowem... [3])

Dopiero ostatnie badania katolickich i bezstronnych historyków filozofii, badania sumienne i źródłowe, śledzące rok za rokiem rozwój umysłowy Descartes'a i zdarzenia z jego życia wykazały, jak fałszywą i odmienną od prawdy opinię

[2]) *Olympica* (tom X-ty wydanie Adam'a i Tennery). Por. w tej kwestii również II-gi rozdział mego artykułu: „Intuicja twórcza filozofii Descartes'a (Przegl. Fil. 1930, str. 42—60), a także Baillet — *La vie de m. Descartes* (Paris 1691) tom I-y str. 80—86. Trzy sny, w których „umysł ludzki nie miał żadnego udziału i uczynione w związku z tymi snami postanowienie odbycia pielgrzymki do M. Boskiej Loretańskiej, by podziękować za łaski otrzymane (którą Descartes faktycznie odbył w 1624-ym) u źródła filozofii nowożytnej — to doprawdy bardzo niestrawna dawka dla naszych masonizujących filozofów!.

[3]) Niektórzy z nich chcieliby go nawet związać z masonizującymi Różo-krzyżowcami, co dla znających lepiej filozofię Descartes'a jest oczywiście absurdalnem. Kłamstwa te przygwóździł filozof katolicki Gilson na str. 277 — 78, cytowanego dzieła o roli myśli średniowiecznej w powstaniu systematu Descartes'a.

ukuł sobie ogół o tym myślicielu pod wpływem heglizujących lub masonizujących filozofów wieku XIX-ego [4]).

Badania te, świetne prace Gilson'a w pierwszym rzędzie, wykazały, jak ściśle, jak organicznie filozofia Descartes'a jest związana z jej scholastycznym podłożem, jak ścisłe związki łączą ją (po przez platonizujące środowisko paryskich Oratorianów, wśród którego obracał się Descartes przed swym wyjazdem do Holandii) z całym wywodzącym się od św. Augustyna platonizmem średniowiecznym.

W świetle tych badań Kartezjanizm ukazuje się nie jako rewolucyjne odrzucenie scholastyki, lecz jako najpiękniejszy punkt rozkwitu nieskrystalizowanego jeszcze i pełnego wewnętrznych niedociągnięć platonizmu chrześcijańskiego św. Augustyna i św. Bonawentury.

Przez postawienie jakby pierwszej zasady słynnego twierdzenia *Cogito, ergo sum* (o wszystkiem mogę wątpić, ale nie mogę o tem wątpić, że wątpię, a skoro wątpię, myślę, skoro zaś myślę— jestem), przez dalsze oczyszczenie chrześcijańskiej idei Boga od helleńskiego nalotu (Bóg staje się już nie tylko Prawdą i Dobrem, ale źródłem samem Prawdy i Dobra) [5]), przez powiązanie augustiańskiego mentalizmu [6]) ze współczesną wiedzą (fizyką matematyczną i geometrią analityczną), przez wysunięcie wreszcie szlachetności (*générosité*) jako podstawy wszystkich cnót [7]). Kartezjanizm osiąga swój triumf i swe trwałe miejsce— w ogólnym dorobku cywilizacyjnym ludzkości.

Można powiedzieć, że symbolizuje on następne, najbardziej wartościowe przymioty ducha romańskiego: jego jasność i zmysł precyzji, jego subtelność i jego zamiłowanie ładu, jego twórczy rozpęd i jego istotną ortodoksyjność. To też jego wpływ na cały późniejszy rozwój cywilizacji francuskiej jest olbrzymi. Pod jego dominującym wpływem pozostaje cały wiek XVII-y — ów złoty wiek literatury francuskiej. Corneille [8]), Pascal, Malebranche, Bossuet, Fénélon — wszyscy oni czerpią z Descartes'a i określają swe własne stanowisko przez postawienie się obok niego. Księżniczka Elżbieta Palatyńska, Królowa Krystyna Szwedzka, pani de Sévigné — wszystkie one są zajęte Descartes'em i tylko Descartes'em. Tworzy się nowa scholastyka — scholastyka Kartezjańska, nowe pojęcie świata — kartezjańskie pojęcie świata, nowy ideał życia — kartezjański ideał życia.

Kres temu rozkwitowi kartezjanizmu (przybierającemu niekiedy, trzeba to przyznać) śmieszne formy [9]), położyła dopiero działalność Woltera i Encyklopedystów.

Po długim, przeszło stopięćdziesięcioletnim śnie jesteśmy dziś we Francji (tej „wiecznej Francji") znów świadkami odżycia zainteresowań dla Kartezjusza (i Pascala) i prawdziwego odrodzenia jego naczelnych tez (oczywiście w dostosowanej do stanu dzisiejszej umysłowości szacie). Pod jego znakiem przedewszystkiem odbędzie się w Paryżu zapowiedziany na 1 — 6 sierpnia b. r. IX-y Międzynarodowy Kongres Filozoficzny.

---

[4]) E. Gilson — *La liberté chez Descartes et la théologie* (Paris 1913).

L'index scolastico — cartésien (Paris 1913).

G. Milhaud — *Une crise mystique chez Descartes en 1619* (Révue de Métophysique et de Morale z 1916-go).

L. Blanchet — *Les antécédents historiques du „Je pense, donc je suis“* (Paris 1920).

J. Sirven — *Les années d'apprentissage de Descartes* (1596 — 1628).

H. Gouhier — *La pensée religieuse de Descartes* (Paris 1924).

S. Cohen — *Écrivains français en Hollande dans la prémière moitié du XVII-e siècle* (Paris 1920).

E. Gilson — *Études sur le rôle de la pensée médievale dans la formation du systèmé cartésien* (Paris 1930).

P. Garin — *Thèses cartésiennes et thèses thomistes* (Paris Desclée de Broumer, bez daty).

Espinas — *Descartes et la Morale* (Paris 1925).

[5]) Por. mój artykuł: „Dowód mitologiczny Kartezjusza i jego nowa idea Boga" (Przegl. Fil. 1937).

[6]) „Mentalizm" — kierunek filozoficzny, głoszący prymat myśli nad zmysłowością. Zmysłowość jest jedynie niedoskonałym i niezupełnym przejawem myśli.

[7]) Szlachetność (*générosité*) „Klucz wszystkich innych cnót" (Passions III, 161) daje nam poznać, że „chociaż każdy z nas jest osobą różną od innych i mającą swe własne zainteresowania, nie możnaby jednak istnieć samemu i *de facto* każdy z nas jest cząstką świata, jedną z cząstek tej ziemi, jedną z cząstek tego państwa, tego społeczeństwa, tej rodziny, z którą jest związany przez swoje miejsce zamieszkania, przez swoją przysięgę, przez swoje urodzenie. I trzeba zawsze przekładać interesy całości, której się jest cząstką, nad swe własne interesy". (List do księżniczki Elżbiety z 15.IX 1645-ego — w IV-ym tomie wydania Adam'a i Tannery'ego).

Tak nie pisałby hołdujący skrajnemu indywidualizmowi wolnomyśliciel, czy Różo-krzyżowiec. Te przepojone poczuciem łączności z ziemią rodzinną i własnem społeczeństwem słowa nie są słowami kosmopolitycznego myśliciela— jakiegoś Borucha Spinozy czy Mojżesza Mendelsona, ale wiernego syna ziemi francuskiej, kość z kości Karola Martela, Bertranda du Guesclin'a i Joanny d'Arc, zapowiadają one raczej Barrès'a i Maurras'a, niż Woltera, czy Rousseau'a...

[8]) Por. w tej kwestji interesujące studium znanego historyka literatury Lanson'a: *„Les Héros Cornélien et le Généreux selon Descartes"* (Paris 1895).

[9]) Ośmieszone znakomicie przez Molièra w *Femmes savantes* (por. np. scenę III-ą IV-ego aktu).

STANISŁAW CZAJKOWSKI

RUGIA

DZIŚ perła ziemi niemieckiej, wyspa Rugia ześrodkowała kiedyś w sobie życie religijne i polityczne licznych plemion słowiańskich rozsiedlonych nad morzem Bałtyckiem, a stolica jej Arkona była siedliskiem kultury „wszechsłowiańskiego" Swantewita.

O Swantewicie mówić będziemy jako bogu „wszechsłowiańskim" w ciaśniejszym tego słowa znaczeniu, bo tylko w odniesieniu do Słowian nadmorskich: Obotrytów, Lutyków i Pomorzan — inne ludy słowiańskie do tej amfiktjonji nie należały.

Słynny kult Swantewita na Rugii początkami swemi sięga w niepamiętne czasy, zapewne w czasy jeszcze przedchrystusowe — znaczenia zaś „wszechsłowiańskiego" nabrał dopiero przez ostatnie sto lat (1066-1168) istnienia pogaństwa u Słowian nadbałtyckich. Przedtem znaczenie takie miała miejscowość zwana Retrą, której szczątki ostatnio odkopano nad jeziorem Lucińskiem (*Lucin-See)* pod (*Feldbergiem w Mecklenburg — Strelitz*). Retra była dla pogańskich Słowian nadbałtyckich tem, czem Rzym dla katolików lub Mekka dla mahometan — stanowiła jednak ośrodek kultu znacznie dawniejszy i odznaczający się w swych urządzeniach konserwatyzmem niedopuszczającym żadnych większych zmian. Bo kiedy w Rzymie religia katolicka zjawiła się dopiero w I w. po nar. Chr. a Rzym stał się jej stolicą z biegiem wieków, kiedy Mekka jako ośrodek islamu zaczęła słynąć dopiero w VII w. po nar. Chr. — kult w Retrze, jak świadczą autorowie starożytni, w I w. po nar. Chr. już uchodził w świecie jako prastary (*vetustissimus, fides antiquitatis religione firmatur*). O świętym gaju Słowian mówiono: „*silva auguriis patrum et prisca formidine sacra*".

Tu do miejsca świętego zjeżdżali się Słowianie zasięgać rady u wyroczni. Tu przysyłały poszczególne plemiona swych posłów na walne wiece, mające radzić o wspólnym losie. Tu przybywano dla dokonywania uroczystych obrzędów religijnych, których najcharakterystyczniejszą cechą była wróżba z konia świętego. Lecz Retra, owe Delfy słowiańskie, po zgórą tysiącznym okresie sławnego żywota, padła zburzona przez Niemców a na świętym koniu biskup niemiecki do domu powracał (1066 r). Od tej chwili Retra już się nie dźwignęła z upadku, jej rolę przyjęła Arkona na Rugii. Kult Swantewita w Arkonie stał się ogólnym dla wszystkich Słowian nadmorskich i kwitł przez lat sto, aż do obalenia go przez Duńczyków w r. 1168. Sławą swą u późniejszych zaćmił on pamięć starożytnej Retry, gdzie czci doznawała Matka Ziemia i bóg Swarożyc.

*

Uczeni zgrupowani w szkole t. zw. berlińsko-austriackiej, opierając się na tem, że Rzymianie ludy należące do owej pomorskiej amfiktioni nazywają Germanami, wygłaszają teorie o niemieckości kultów nadmorskich.

Należy jednak stwierdzić, że terminy zarówno Germania jak i Germani są to u starożytnych Rzymian terminy geograficzne a nie etniczne. Teorie te są więc z gruntu błędne i dziś nikt, kto bliżej zapoznał się z omawianem zagadnieniem, o czysto-słowiańskim charakterze plemion i kultów nadbałtyckich wątpić nie może.

Słowianie na długie wieki w przedchrystusowe czasy brzegi Bałtyku dzierżyli. Niemcy jednak, ze względów patriotycznych, bez istotnych danych, obstają przy swoich teoriach, przeciwko którym występowało i występuje wielu poważnych uczonych. Ostatnio, niezbite dowody bezsprzecznej słowiańskości kultów nadbałtyckich, wykazał na podstawie wspólnych elementów w religii Germanów Tacyta i Słowian połabskich. — J. B. Daniewski.

*

Rugia — święta wyspa Słowian nadmorskich — kilkakrotnie w dziejach miała związek z państwem Polskiem. Kiedy mianowicie u sąsiadujących ze Słowianami nadbałtyckimi narodów — Niemców, Duńczyków i Polaków zapanowało chrześcijaństwo — narody te, nie władając faktycznie ziemiami nadbałtyckiemi, dzieliły je jednak na sfery swych wpływów.

Najpierw ekspektatywę na wyspę Rugię mieli Duńczycy i w przyszłości, w razie zaprowadzenia na niej chrześcijaństwa, miała ona należeć do biskupstwa roskildskiego, metropolii lundskiej. Skoro jednak Bolesław Krzywousty podbił Pomorze Szczecińskie (1121) i zaczął szerzyć zabory swoje wgłąb ziemi Lutyków, kiedy zostało zorganizowane dla ziem zachodniego Pomorza biskupstwo w Wolinie na wyspie u ujścia Odry (1125) i przyłączone do archidiecezji gnieźnieńskiej, cesarz Lotar ekspektatywę na Rugię przyznał Bolesławowi Krzywoustemu (1135). Lecz po śmierci Bolesława Krzywoustego Polska popadła w rozdrobnienie dzielnicowe i bezsilność. Wtedy to Duńczykom po licznych próbach udało się wreszcie zdobyć Arkonę (1168) i zniszczyć prastary kult pogański a księcia Rugii Jaromira uczynić swoim hołdownikiem.

*

Przy pogaństwie pozostały jeszcze plemiona Prusów i Litwinów rozsiedlone na wschód od Wisły. Prusów zdławili Krzyżacy — Litwinów od smutnego losu, uchroniło małżeństwo wielkiego księcia litewskiego Jagiełły z królową polską Jadwigą (1386). I tak etapami zmieniło się prastare, pierwotne oblicze ziem północnych, na południe od Bałtyku leżących. W dwieście bowiem lat po ochrzczeniu Polski (966), upadło pogaństwo u Słowian nadbałtyckich (1168), a w dwieście zgórą lat po zniknięciu prastarego obyczaju na Rugii, nastąpił zanik ostatniej wyspy pogańskiej nad Bałtykiem, jaką była Litwa (1387).

*

Tytuł królów polskich z domu Wazów brzmiał: — *Dei Gratia Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiaeque nec-non Svecorum, Gottorum, Vandalorumque, haereditarius Rex*. — (Z Łaski Bożej Król Polski, Wielki Książe Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Inflantski etc. i Szwedzki, Gotski, Wandalski, Dziedziczny Król).

Słowianie nadbałtyccy bowiem, a zatem i mieszkańcy Rugii, przez Niemców byli nazwani Wendami (*Wenden*). Po łacinie natomiast, przez ciąg jeszcze czasów nowożytnych a nawet nowoczesnych, występowała nazwa Vandali nadawana im już przez starożytnych (Plinius). Należy jednak

odróżnić Wandalów (Wendów, Wenedów) Słowian, od Wandalów skandynawskich (Gotów) zdobywców Afryki, którzy są plemieniem etnicznie germańskiem i którzy przyjęli nazwę Wandalów od Wandalów (Wendów, Wenedów) Słowian nadbałtyckich, wśród których nad dolną Wisłą przez dłuższy czas mieszkali i używali tej nazwy dla odróżnienia się od innych plemion gockich.

MICHAŁ STRANKOWSKI

CZY MICKIEWICZ ZNAŁ „PIEŚŃ O ŻUBRZE"?

(Dokończenie)

JAKO dowód tej sławy i wziętości Humboldta w Wilnie prof. Szafer wskazuje fakt, że gdy na wiosnę r. 1830 wielki uczony niemiecki wracał z wyprawy naukowej przedsięwziętej na Ural, uniwersytet wileński zaprosił go na uroczystą sesję Towarzystwa Literackiego, którego Humboldt był członkiem. Wtedy to właśnie, podczas wspomnianej sesji, wręczono mu – zadedykowane przecie jego zasługom i umyślnie dla niego pisane po niemiecku — owo wielkie dzieło o przyrodzie Litwy, Wołynia i Podola, wydane pod firmą czy redakcją Eichwalda [4]).

Dużo można by pisać o tem, co Mickiewicz zawdzięczał Humboldtowi, jak cenił jego pisma, jak się w nich rozczytywał. Potrącił o ten temat Józef Kallenbach (Adam Mickiewicz, 1918.II, 302), ale pospieszył zaznaczyć, że nie może się nad nim „szczegółowo zastanawiać", zwłaszcza że należało by się oprzeć na krytycznem wydaniu prelekcji paryskich z obszernym komentarzem hermeneutycznym". Nie będąc specjalnym znawcą dzieł Humboldta, wolę i ja trud ten pozostawić osobom bardziej powołanym (przedewszystkiem profesorom: K. Górskiemu, Pigoniowi, Płoszewskiemu i Życzyńskiemu), zwłaszcza że się on z tematem moim bezpośrednio nie wiąże.

Ważniejszą byłoby rzeczą wskazanie, czy znał Mickiewicz ową księgę, którą uniwersytet wileński wręczył Humboldtowi.

Twierdzić, czy znał, nie możemy, ale przypuszczać mamy wszelkie prawo. Nasuwać to przypuszczenie może zawarty w tej księdze opis puszczy Białowieskiej (str. 247), mający niejakie— choć dość blade -- pokrewieństwo z opisem puszczy w „Panu Tadeuszu". Ale o wiele bardziej uderzą nas takie wiersze w Mickiewiczowskiej „Drodze do Rosji":

Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
jak gdyby wczora dopiero stworzona,
a przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,
żeglarz przybyły z falami potopu,
i mową obcą moskiewskiemu chłopu
głosi, że dawno stworzone te kraje...

Otóż wiersze te są niemal dokładnem streszczeniem wykładu zawartego na str. 239—241 „*Naturhistorische Skizze*", a dającego opis Rosji w epokach pierwotnych:

Dieselben Gegenden besassen in der Vorwelt riesenartige Vielhufer, so die tapirartige Lophiodonten, die Mastodonten und Elephanten etc. etc.

Co więcej poeta jakby czyni wyraźną aluzję do ksiąg przyrodniczych mówiących o przeddziejowych czasach obszarów cesarstwa rosyjskiego:

A przecież nieraz książka ukradziona
lub gwałtem wzięta, przybywszy z Zachodu,
mówi...

Książek takich wiele przybyło z ziem polskich zabranych przez Rosję, wiele nawet z Wilna. Ale czy pomiędzy temi książkami zawędrowało do Petersburga dzieło poświęcone Humboldtowi przez uczonych wileńskich i czy zdążył je tam poznać poeta, który w maju 1829 r. wyjechał z Rosji? To wątpliwe, więc raczej można by przypuścić, że o niem zasłyszał, albo że je poznał już na emigracji, przed pisaniem „Dziadów" drezdeńskich.

Ale czy koniecznie trzeba mniemać, że Mickiewicz dopiero drogą okrężną, przez wileńską księgę uniwersytecką ofiarowaną Humboldtowi, skierował swą uwagę na poemat łaciński Hussowskiego o litewskim żubrze? Czyż nie prościej będzie przyjąć, że poeta poznał utwór polskiego humanisty—i to piewcy sławy lubego mu Witołda— już znacznie wcześniej, a to bezpośrednio, przez Grodka czy Borowskiego, czy z zachęty wyczytanej w podręcznikach Bentkowskiego i Juszyńskiego, przez bibljotekę wileńską za lat swoich studiów uniwersyteckich.

W każdym razie twierdzenie, jakoby „Mickiewicz Pieśni o żubrze znać nie mógł", nie jest niczem poparte. Owszem, wiele jeszcze przemawia za tem, że mógł ją znać, a nawet, że znał ją napewno.

Należy między innemi mieć to w pamięci, że właśnie w latach uniwersyteckich Mickiewicza, a następnie w latach początkowych jego pielgrzymstwa, dających mnóstwo różnorodnych podniet twórczych „Dziadom" drezdeńskim i „Panu Tadeuszowi", ukazało się ponadto wiele innych książek, w których była mowa o żubrach, przyczem nierzadko wspominano i poemat Hussowskiego. Prócz wzmiankowanych już historyków literatury (Juszyński, Bentkowski i in.) będzie tu szedł Niemcewicz ze swym zbiorem pamiętników, dalej Jarockiego głośna praca „*Zuber oder der lithauische Auerochs*" (Hamburg 1830), a także sześciotomowa zoologia („zwierzętopismo") tegoż autora, wydawana od r. 1819 w Warszawie. Ale najważniejszą dla nas — i najbardziej wymowną pozycją będzie słynna „Nauka łowiectwa w dwuch tomach przez Ignacego Bobiatyńskiego, kandydata filozofii [5])" drukowana w Wilnie, i to również w drukarni Zawadzkiego, niemal jednocześnie z druku-

[4]) Myli się trochę prof. Szafer, wspominając, że dzieło to jest „ozdobione wizerunkiem żubra według rysunku N. Hussowczyka" (może błąd druku?) Rysunek litograficzny przez I. Moszczyńskiego, ma inne pochodzenie. Objaśnienie w tym względzie daje sam Eichwald, lub ktoś z jego współpracowników, na str. 254: „*Das Titelkupfer stellt unsern Auer dar, nach dem Leben gezeichnet von dem geschickten Thiermaler, H. Jankiewicz, der mich auf meiner Reise begleitete*" (podkreślenia moje).

[5]) Bliższe wiadomości o Bobiatyńskim i jego dziele podał niestrudzony historyk naszego łowiectwa, kapitan Józef Wł. Kobylański, w przypisach do książki Tadeusza Turkowskiego „Materiały do dziejów literatury i oświaty z lat 1805—1867, z archiwum drukarni i księgarni Józefa Zawadzkiego". Wilno 1935.

jącemi się tamże dwoma tomikami poezyj Mickiewicza: tom bowiem pierwszy tej „Nauki" wyszedł w roku 1823 (cenz. 11.X 1822), drugi w 1825 (cenz. XI.XII.1824). Byłoby może kiedyś rzeczą ponętną stwierdzić, czy Mickiewicz korzystał (i w jakiej mierze) z tego dzieła myśliwskiego, kreśląc wspaniałe opisy przyrody i łowów w „Panu Tadeuszu". Narazie stwierdzić łatwo rzecz jedną, dla nas ważną: Bobiatyński znał dobrze, z pierwszej ręki „*Carmen de bisonte*" Hussowczyka, zatem książka ta znajdować sie musiała w tamtejszych księgozbiorach, najpewniej w bibliotece uniwersyteckiej, może i w zbiorach samego księgarza Zawadzkiego, skoro właśnie w jego publikacjach niejednokrotnie powtarza się nazwisko i wiersze tego łacińsko-polskiego poety. Bo jak Eichwald z kolegami, tak i Bobiatyński już na samem czele swego dzieła zamieścił *motto* z poematu o żubrze. Tym razem były to wiersze:

„Tu melius scribes, ego tendam fortius arcum..."

Faktem więc niewątpliwym jest nietylko obecność conajmniej jednego egzemplarza „Pieśni o żubrze" w bibliotekach wileńskich (niestety po powstaniu listopadowem wywiezionych w głąb Rosji i tam rozsypanych po miastach prowincjonalnych), ale też ogromna ówczesna popularność tego poematu w tamtych stronach, zupełnie zrozumiała ze względu na jego treść wybitnie regionalną.

W każdym razie może pozwolimy sobie na tę ostrożność i mimo wszystko orzekniemy: znajomość poematu „*De bisonte Carmen*" przez Mickiewicza jest faktem bardzo prawdopodobnym, ale tymczasowo pozostanie tylko bardzo mocnem przypuszczeniem, póki nie ugruntuje tego przypuszczenia jakiś znak z u p e ł n i e przekonywający, a więc odnalezienie się owego zaginionego wileńskiego egzemplarza „Pieśni o żubrze", z którego korzystali Bobiatyński i Eichwald z towarzyszami, oraz jakiejkolwiek wzmianki o Hussowczyku w pismach Mickiewicza lub jego przyjaciół. W sprawie pierwszej apeluję do badaczy pamiątek wileńskich, w sprawie drugiej do edytorów sejmowego wydania dzieł Mickiewicza.

JÓZEF BIRKENMAJER

KILKA WYJAŚNIEŃ W SPRAWACH WIERSZA

MOJA notatka w Nrze 11 „Myśli Narodowej" wywołała natychmiast tak potężny już choćby rozmiarami, przeszło czterokrotnie większemi, kontratak p. Stefana Godlewskiego, że, dla samoobrony jedynie, muszę jeszcze kontynuować polemikę—wbrew woli, gdyż nie wierzę ani w możliwość zupełnego wyjaśnienia wszystkich poruszonych przez Szanownego Oponenta, zawikłanych, spraw w ramach takiej polemicznej notatki, ani w zwycięstwo (o co mi, wyznam, nigdy nie chodzi w polemice) nad tak zręcznym szermierzem, który umie ugodzić w słabe miejsca twierdzeń moich i mojej książeczki.

Jest ich sporo, więcej niż to jest nieuniknione w każdym dziele rąk ludzkich; nie będę ich usprawiedliwiał ani tłumaczył, jak powstały; są najczęściej wynikiem dążności do najdalej posuniętej zwięzłości, skąd niejasności, złe sformułowania lub łączenie w jednym ustępie dwóch różnych kwestyj. Tak niepotrzebnie w przypisku, który jest początkiem naszej polemiki, połączyłem sprawę mojej teorii o czystym sylabiźmie wiersza staropolskiego z hypotezą p. Godlewskiego o lekceważącem akcent skandowaniu archaicznych rymotwórców. W mojej intencji było to poparcie mej teorii jeszcze jednym dowodem — w jaki sposób, zbyt długo to wyjaśniać, zrobiłem to już w następstwie, w drukującej się obecnie pracy. Inną sprawą jest możliwość przyjęcia hypotezy p. Godlewskiego jako prawdopodobnego realnego obrazu wersyfikacji archaicznej: przeciwstawiłem temu pobieżnie parę argumentów, szerzej znajdzie się o tem we wzmiankowanej przed chwilą pracy.

Tu chciałbym dać tylko kilka cząstkowych wyjaśnień:

1) Nie uważam za „bolesny zarzut" przypuszczenia, że czytelnik nie zgłębił dość trudnego ze względu na zwięzłość (patrz wyżej) tekstu mojej książki, skupiając uwagę na ustępie osobiście go obchodzącym.

2) Teoria moja, w najzwięźlejszem sformułowaniu brzmiąca: „a k c e n t w y r a z o w y nie od-grywał żadnej roli w wierszu staropolskim", nie wyjaśnia jeszcze, z pewnością równą temu stwierdzeniu, przyczyn tego stanu rzeczy. Nieco paradoksalnem wyjaśnieniem byłoby przypuszczenie, że „akcentu wyrazowego wogóle nie było", przypuszczenie które jak mi się zdawało, wynika z hypotezy p. Godlewskiego. W każdym razie sądzę, że po zastanowieniu się przyzna mi, iż zgodnie z jego hypotezą akcent w y r a z o w y, nie miał znaczenia w wierszu staropolskim.

3) Pod słowem „wersyfikacja" w przytoczonem przez p. Godlewskiego zdaniu rozumiałem całość jakiegoś systemu wersyfikacyjnego jako zespołu norm, przyjętego (wyłącznie lub obok innych) w poezji pewnego języka, więc np. w poezji niemieckiej wersyfikacja akcentowa, wersyfikacja sylabiczno-toniczna, wersyfikacja pseudo-antyczna i t. p., nie zaś pojedyńcze curiosa, których zasób istnieje w każdym języku. Twierdzenie moje o nieistnieniu „wersyfikacji, któraby biorąc pod uwagę jakiś element foniczny użytkowywała go wbrew realnym właściwościom materiału słownego" jest w swej istocie sądem analitycznym typu: „żaden czworobok nie ma tylko trzech boków". Przy transpozycji w dziedzinę wersyfikacji przykładowo wyglądałoby to tak: czy nazwiemy sylabiczną, t. j. opartą na liczeniu zgłosek, wersyfikację, w której dla wyrównania liczby sylab w wierszu „stół" mógłby być przeczytany za trzy sylaby (np. „setóło") a „krzesło" za jedną (jako „krzsło")? lub w co obróciłaby istota wesryfikacji iloczasowej, (wyobrażamy sobie środowisko gdzie jest ona żywą i gdzie iloczas jest jasno odczuwany przez mówiących), gdyby w heksametrze stawiano krótkie zgłoski na miejsce przewidziane dla długiej?

4) Nie twierdzę w ostatniej swojej notatce o kołysance „Aa, kotki dwa", że jest ona bezsen-

sowna; natomiast twierdzę że funkcja mowy jest tu inna niż w normalnym utworze, który jest w tym czy innym stopniu rozumiany przez odbiorcę starającego się w każdym razie sens utworu uchwycić. Istotnym przeznaczeniem kołysanki jest uśpienie niemowlęcia w kołysce za pomocą monotonnego rytmu dźwięków, wspomagającego rytm kołysania. Strona znaczeniowa tych dźwięków jest dla tego celu obojętna, podobnie jak w jawnie bezsensownym „Entliczku", gdzie również sam rytm spełnia zadanie, do którego utwór jest przeznaczony.

5) Przytoczone przez p. Godlewskiego refreny, acz same w sobie bezsensowne, w kontekście nabierają określonego waloru znaczeniowego i nie podważają tezy o niezbędnem istnieniu w poezji jako sztuce słowa, jego strony znaczeniowej.

6) Muszę przyznać rację p. Godlewskiemu, że w przypisku na str. 98 mojej książki mówię o bezsensownych wierszach prawidłowych z punktu widzenia wersyfikacji sylabiczno-tonicznej. Ale „Entliczek, pentliczek", jeśli przeczytamy te niby-słowa z akcentem normalnym polskim, na drugiej z końca, nie przestaje być dobrym wierszem amfibrachicznym (choć wiem z własnego dzieciństwa, że akcentują go zwykle inaczej, podkreślając tem jeszcze deformację mowy w kierunku „*pure nonsens*"). W dodatku przypisek, jako mówiący o wierszach bezsensownych wogóle, z punktu widzenia braku podziałów logicznych mowy, ujmuje do pewnego stopnia kwestię wszelkich struktur językowych, o nastawieniu wyłącznie rytmicznem.

7) Na podstawie ostatnich wyjaśnień p. Godlewskiego przyjmuję do wiadomości, zgodnie z jego hypotezą, istnienie dwojakiej wersyfikacji staropolskiej: wierszy przeznaczonych do skandowania sprzecznego z akcentem gramatycznym oraz wierszy przeznaczonych do czytania z akcentami gramatycznemi, które wolno było jednak poecie, w formie wyjątku, lekceważyć (widać tu podpadają moje przykłady nie paroksytonicznych średniówek i kadencyj). Stosunek wzajemny tych dwóch wersyfikacyj nie jest zbyt jasny: czy więc jednak Kochanowski nauczył się od poprzedników lekceważenia akcentu? A jeśli tak, to czemu normą metryczną jest dla niego (jak zdaje się sądzić p. Godlewski) średniówka „paroksytoniczna" (przy akcentowaniu normalnem)? A jeśli jest normą, to czemu od niej odstępuje bez widocznej potrzeby (gdyż potrzeba jedynie t. j. niemożność przezwyciężenia oporu materiału słownego, usprawiedliwia uciekanie się do przywileju „licencyj poetyckich")? Wątpliwości te proponuję p. Godlewskiemu rozważyć spokojnie bez pośpiechu, obiecując ze swej strony równie oględnie ustosunkować się do jego interesujących przypuszczeń.

8) Najsłabszym za niemi argumentem jest przytoczony czterowiersz p. Gębarskiego. „Wyjątkowe" wiersze (dwa na cztery), w których akcent gramatyczny jest zlekceważony, są zbyt liczne, by uznać ich wyjątkowość. Albo więc p. Gębarski proponuje czytelnikowi mechaniczne „jambiczne dukanie" (używając wyrażenia p. Godlewskiego), na co inteligentny Polak — znający choćby „Słowiczku mój" Mickiewicza i liczne w ciągu przeszło wieku przykłady jambów polskich, n i e l e k c e w a ż ą c y c h a k c e n t ó w g r a m a t y c z n y c h, lecz zgodnie z istotą wersyfikacji sylabiczno-tonicznej, organizujących je w wiersz — nigdy się nie zgodzi i „dukać" tak nie będzie. Albo co jest najprawdopodobniejsze, p. Gębarski starał się przełożyć „Rusłana i Ludmiłę" wierszem oryginału, ale naśladować wiersza Puszkina nawet zewnętrznie nie potrafił (inaczej niż tylu innych tłumaczów, którzy potrafili po kilkaset np. ostatnio Tuwim w „Jeźdźcu miedzianym", lub po kilka tysięcy — Belmont w „Onieginie" położyć obok siebie nieposzlakowanych jambów polskich), jest więc lichym rymotwórcą a jego wiersze poprostu złemi, nieudanemi wierszami, które miały być sylabiczno-toniczne. Albo wreszcie, co jest mało prawdopodobne ze wzglępu na współczesne poczucie rytmiczne, p. Gębarski jest w naszych czasach przedstawicielem tradycji czystego sylabizmu i jedyną normą metryczną jego wierszy jest dziewięć sylab w każdym. Ale żeby się na to zgodzić, trzeba uznać słuszność mojej klasyfikacji wiersza polskiego.

KAROL W. ZAWODZIŃSKI

GDYNIA

Żądza przygód nieznanych wabi i zniewala
Las masztów i kominów odbija się w wodzie,
Kształty jachtów wysmukłych wypieściła fala,
Gotowe do odlotu stoją wartkie łodzie.

Nad banderami statków mew krąży korona,
Rejsów odległych powtarzając dzieje,
Czerwienieją begonie na skwerze Wilsona
Oraz w skwarze słonecznym morze błękitnieje...

Jest upalnie i błogo jak pod zwrotnikami
Pośród palm i paproci upojnej zieleni,
Słońce się rozsypało kłójącemi skrami,
Tysiącem tęcz się każda kropla mieni.

Za firanką z perkalu gdzieś w portowym barze
(Borneo czy Sumatra, Celebes czy Jawa)
Nad kieliszkiem *coctail* u starzy marynarze,
A przy nich, jak kochanka, dawnych przygód sława

O Gdynio, miasto bieli, wykwitłaś jak wieża,
Którą dźwignęły cedry i marmury,
Z szarego piasku naszego wybrzeża
Dumnie czoło zwycięskie podniosłaś do góry.

Oto dźwigi żelazne wyciągają dłonie
Do wszystkich ludzi bez różnicy rasy
I idą wbród przez wodę niby juczne słonie,
Dźwigając na swym grzbiecie transmisyjne pasy.

Dla ciebie szumią palmy na żarliwym niebie
I ociężałe z krzewów zwisły winogrona.
Jesteś wybranką świata. Dlatego do ciebie
Kula ziemska się zbliża wiatrami niesiona.

Płonie żaglowiec świata, w twoje wkroczył wody
I osiadł na Bałtyku królewskiej mieliźnie,
Zadumał się nad pięknem twej, Gdynio, urody,
Mówiąc głosami świata o twojej ojczyźnie.

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

NA WIDOWNI

Zmartwychwstanie zwycięstwem nad złem i nad śmiercią. — W dążeniu do większego i lepszego naszym obowiązkiem wciąż zmartwychwstawać. — O cierpieniu i walce jako drogach zwycięstwa i zmartwychwstania.

Z każdą wiosną obchodzi Kościół wielkanocne święto Zmartwychwstania i przypomina nam w ten sposób największą i najradośniejszą z prawd — pokonalność zła i pokonalność śmierci. Największą i najradośniejszą, bo cóż warte byłoby życie, gdyby istotnie śmierć była czemś niezmożonem i gdyby dobro nie umiało nigdy zatryumfować. Przecież wtedy naprawdę wszystko byłoby jakimś nonsensem, jakąś mocą okropną i żaden człowiek nie wytrzymałby na swojej piersi przeraźliwego ucisku głazów takiego beznadziejnego i ponurego życia. I gdy wsród wszelkich przeciwności, wśród wszystkich naszego życia walk i zawodów nie upadamy i nie przestajemy wierzyć w jego nieskończoną wartość i głęboki, przemądry sens, to tylko dlatego, że mamy w duszy mocno zaszczepioną wiarę w niewątpliwe zwycięstwo dobra i nieskończoną z istoty swojej nieśmiertelność. Bez nich nie starczyłoby żadnej duszy ludzkiej mocy do tych tak beznadziejnych i tak nieraz przekraczających, wydawałoby się, jej wewnętrzne zasoby, zapasów.

Człowiek jest bowiem z natury swojej słaby i rozdarty — tragicznie rozdwojony między duszę i ciało. Cała jego moc, cały władczy wysiłek jego duszy, to tylko to jedynie co jej podszepnąć zdoła Boży głos sumienia, któremu wierny być zawsze winien. W niem właśnie źródło pokonalności zła. A jeśli chodzi o sens zmartwychwstania, to jest nim godzenie życia i śmierci, czyli godzenie duszy i ciała, — szukanie wiecznie nowej drogi do lepszego i większego.

Lepsze i większe to najpiękniejszy z snów człowieka, Gdyby nie te dążenia, gdyby nie wiara, że można się stać lepszym i że można się odrodzić i poprawić, to przecież całe życie nie miałoby żadnego uroku, przemieniając się w jakąś nudną i żmudną niezmienność. Byłoby ono jakąś nonsensowną wojną, prowadzoną nie wiadomo poco i bez wiary w ostateczne zwycięstwo.

A przecież sensem życia jest nic innego jak zwycięstwo. Zwycięstwo ogólnie ujęte — jako Zbawienie; zwycięstwo ujęte materialistyczniej — jako realizacja swoich celów. A owe lepsze o którem każdy człowiek marzy i do którego uparcie dąży — ma swoje źródło właśnie w wierze w możność wydźwignięcia się swoim własnym wysiłkiem na wyżyny dające zwycięstwo.

Jest w tem wielkiem święcie jakby ogromne zwierciadło prawd życia — uczy nas ono jeszcze bowiem i dobrodziejstwa i potęgi naszej wolnej woli. W nas samych jest moc zmartwychwstania jest nawet tego zmartwychwstania obowiązek. Bo lepsze i większe to właśnie pokonalność zła, to codzienna realizacja Boskiego mitu zmartwychwstania. — Kiedyś sam Bóg za nas umarł na Krzyżu i swoją cudowną mocą zmartwychwstał. Dziś my w swoich życiowych drobnostkach mamy obowiązek kroczyć tą samą drogą. Naszem zadaniem jest ciągle zmartwychwstawać, ciągle się zmieniać w drodze do lepszego i większego.

Ale zmartwychwstanie to droga do życia przez śmierć, do radości przez cierpienie — do zwycięstwa przez klęskę. A co za tem idzie, w codziennem naszem małem ludzkiem rozumieniu, uświadomienie sobie, że ową istotną drogą poprawy, istotną drogą zwycięstwa jest ciągłe i wytrwałe zastępowanie zła przez dobro i ciągłe pamiętanie o tem, że dzisiejszy ból musi się przemienić w jutrzejszą radość, a dzisiejszy upadek i grzech, to właśnie nic innego, jak przez żal i skruchę nowa jutrzejsza cnota.

I tak idzie droga ludzka krętemi meandrami ciągle wzwyż. Ciągle się coś w nas kończy, ciągle coś zaczyna. *Obiit Gustavus et natus est Conradus.* Śmierć jednego jest początkiem drugiego. Z regularnością dnia i nocy te kolejne stadia po sobie nadchodzą. Jest jakby ciągły, bezustanny krzepiący paradoks, żeby żyć naprawdę trzeba wprzód umrzeć. Ogromna, odwieczna prawda, że przez wyrzekanie się, odmienianie się — wiedzie droga do lepszego. I tragiczna równocześnie prawda życia ludzkiego, że tę pełnię szczęścia do której się całe życie z takim zaciętym uporem dąży, dla której się tyle poświęca i taki bezmiar cierpień i udręk znosi — istotnie i napewno osiągnie się dopiero przez śmierć, i że ona dopiero jest ostatniem i prawdziwem już zmartwychwstaniem, skoro za nią stoi dopiero istotne i prawdziwe, bo nieśmiertelne już życie.

Jest w „Weselu" taka cudowna scena, gdy dwie panienki rozmawiają ze sobą. Mówią o życiu, a więc oczywiście i o miłości. I Zosia „chciałaby kochać ale bardzo, ale tak bardzo, bardzo mocno„, i marzy z całą uroczą wiarą młodości o tem szczęściu łatwem i kochanem, gdzie ktoś jest dla kogoś stworzony i na które „równo się przychodzi". A tymczasem niestety rzeczywistość jest inna, bardzo daleka od tej złotej sielanki. Zwykle radość nie jest sama, ale idzie po bólu, a o ile tak nie jest, to tamten ułudny sen kończy się zwykle łzami, co chyba o wiele gorsze, skoro „wszystko dobre co się kończy dobrze". I ma rację Haneczka, gdy mowi, że:

> „musi przyjść wprzódy cierpień koło;
> przejść musi wprzódy nędzę, bole,
> a potem kiedyś będzie wesoło,
> jak ci ból serce dość nakole"

Bo to właśnie prawda życia istotna i ogromne dla niego znaczenie cierpienia, jako źródła dobra i zmartwychwstania. Bo wracając jeszcze do Wyspiańskiego:

> „trza coś przecierpieć, coś przeboleć,
> żeby módz miłość uszanować".

Ja bym tu dodał: — nie tylko miłość, ale wogóle wszystko wielkie i Boże, wszystko istotne — każde dobro. Bo dobro takie, jakie śni się Zosi, nie jest z tej ziemi i nie jest dla człowieka. Brak mu ceny, brak mu rzetelnej zapłaty trudu. I jakiż wyjątkowy i wspaniały musiałby być ten człowiek, by tych darów fortuny nie zmarnować i nie odmienić ich w łzy.

Więc wydawałoby się może bardzo beznadziejnie, że jednak tu na ziemi właściwie nic więcej nie mamy ponad samo bojowanie i że wszystko istotne, prawdziwe i szczęśliwe leży dopiero za błękitami. I ostatecznie trudno nie przyznać. że w najgłębszym swoim sensie niewątpliwie tak jest. Ale pamiętajmy o tem, że tam za błękitami tylko tyle będziemy mieli, ile już tu na ziemi zdołamy sobie wywalczyć. Że to jedno, jedyne i dla-

tego tak szalenie bezcenne życie musi nam zapewnić wielkie zwycięstwo, takie jedyne a wieczne. I niewątpliwie tyle tylko szczęścia da nam ostatnie zmartwychwstanie, ile go sobie już tu, na tym Bożym świecie potrafimy odnaleźć, chociażby ową drogą bólu, łez i wyrzeczenia.

I jeszcze jedno. — By zwyciężyć, by odnieść ostateczny tryumf zmartwychwstania, by pokonać zło i pokonać je przedewszystkiem w sobie — trzeba mieć wolę mocną zwycięstwa, trzeba być nieustępliwym i wytrwałym. Można i to nawet po wielekroć się załamywać, ale nie można nigdy się załamać, nie można nigdy odstąpić od ideałów, nie można wyrzec się marzenia, chociażby droga do niego nie wiem jak była ciężka, a nasz cel nie wiem jak rozpaczliwie i nieosiągalnie daleko. My w tych wszystkich swoich wzlotach do Boga się zbliżamy; dlatego cofać się nam nie wolno. Każdy kielich goryczy tylko Bóg od nas odsunąć może, nigdy my sami. I o tem, o tem właśnie przedewszystkiem trzeba w dniu zwycięskiego święta zmartwychwstania pamiętać. Pamiętać o wytrwałości, bo tylko „kto wytrwa aż do końca, ten będzie zbawiony" (Mat. X, 22).

KAROL STEFAN FRYCZ

Redakcja „Myśli Narodowej", stale jednocząca się z Czytelnikami sercem i umysłem, przesyła Im wobec nadchodzących Świąt Zmartwychwstania życzenia wesołego ALLELUJA.

GŁOSY

WE WŁAŚCIWEM ŚWIETLE

Zwrócono nam uwagę, że zamieszczony w nr. 12 artykuł „Uniwersalizm Habsburgów" razi niektórych czytelników akcentami negacji w stosunku do idei narodowej. Rozprawa ta, łącznie z poprzednią o „Misji dziejowej Niemiec" jest fragmentem pracy naukowej, usiłującej utrzymać obraz epoki obiektywnie w świetle ówczesnej ideologii imperialistycznej. Dzisiejsze pojęcie „narodu" jest zupełnie inne, niż było w owe czasy; jest ono właściwie zdobyczą XIX wieku.

Tak rozumiejąc rzeczy, nie dodaliśmy do artykułu zastrzeżenia ze strony redakcji. Gdyby niektóre oświetlenia i wyrażenia, mogące budzić nieporozumienie, pochodziły od autora, oczywiście należałoby się przeciw nim zastrzec. Nie chcieliśmy jednak samowolnie tych punktów usuwać bez porozumienia z autorem, którego niema w Warszawie.

Kwestię słuszności czy niesłuszności sądów autora, wypowiedzianych o Habsburgach, pozostawimy na uboczu. Dodamy tylko od siebie, że właśnie nieszczęściem ich było, że się nie stali narodową dynastią, dla tego tylko wielu z nich nie wzniosło się na wyżyny wielkości, że za nimi nie stał naród, że żaden naród nie dawał im natchnienia dziejowego.

LOŻA NA WYGNANIU

Wielka Symboliczna Loża Niemiec — jak podaje „*Das Jahrbuch der Freimaurei*", Wien 1935 — została po przewrocie hitlerowskim w Niemczech rozwiązana i na skutek represyj przeniosła się do... Palestyny, gdzie pracuje pod nazwą „Wielkiej Symbolicznej Loży Niemiec na Wygnaniu".

Jednocześnie z książki byłego masona Alberta Vigneau p. t. „*La Franc - Maçonnerie — danger social*" dowiadujemy się, że „Wielki Wschód Italii został odnowiony w Londynie, zarówno jak i Rada Najwyższa (Loża 33 stopnia) Italii, która jest w stałym kontakcie i trochę pod rozkazami — rzecz nadzwyczajna — Rady Najwyższej Anglii":

Jak widzimy masoneria niemiecka, po zlikwidowaniu jej w Rzeszy, znalazła schronienie u największego wroga Niemiec hitlerowskich — u żydów; masoneria włoska w okresie, gdy Anglia starała się przeciwstawić cały świat polityce kolonjalnej Włoch — schroniła się do tego kraju.

NAUKA i LITERATURA

DWIE MUZY

WYSZŁY niedawno dwa tomiki poezyj, tak sobie przeciwne, że już choćby dlatego warto je omówić razem. Staffa „Barwa miodu" i Leśmiana „Napój cienisty"[1])—to dwa światy, i dwie jesienie. Bywa jesień spokojna, pachnąca niedawno minionem latem, pogodna a mocna przez swoją słodycz, do której mądrość doświadczenia przymieszała kroplę goryczy — koniecznej, jesień zbieraczka owoców, jesień—gospodarna a piękna pani. I bywa jesień pełna dreszczów przeczuwanej szarugi, pełna cieniów poszarpanych chmur, jesień spłowiałych barw, czas przeżytych dążeń, czas rozsypywania się zbudowanych na mgle pałaców. —

„Barwa miodu" Leopolda Staffa jest pełna głębokich i spokojnych tonów. Jeżeli istnieje „piękno klasyczne", to można je znaleźć w pełni rozkwitu właśnie w jego wierszach, które obecnie (już od „Ucha igielnego") odrzuciły wszelkie nieprzeżyte zdobnictwo formy, zyskując skończoność i pełną siły pogodę, równą chyba dziełom greckich rzeźbiarzy. Nie znaczy to oczywiście aby spokój Staffa był kwietyzmem. Przeciwnie, jest męską, opanowaną i aktywną dumą, jest ludzką mądrością, pamiętającą o „doli człowieczej".

Nie uciechy od życia, ale, przeciwnie, szuka burzy:

„Niebo nad głową się chmurzy.
Nadciąga wicher z nawałą.
Już nie uniknę dziś burzy.
Grzmi? Nieraz mocniej już grzmiało.

Rozpraw się, losie, zły biesie,
W zaciekłej ze mną szermierce!
A jeśli serce nie zniesie?
To trudno! Ja albo serce". (Burza nad głową).

Głębokie przeżycia religijne dają Staffowi wzmożone poczucie piękna świata i prawdziwie natchnione słowa:

„Czasem słońca wieczorny blask w rzece, jak słowo
Objawienia, olśniewa wiedzą tajemnicy
I przez chwilę Twój wszechświat zda się jednakowo
Prosty i niepojęty, jak ziarno pszenicy" (str. 21).

Pogodne usposobienie wyraża się w czarujących scherzach słownych, niepozbawionych nieraz mądrej ironii, jak „Do Muzy", albo „Otium". Bywają chwile zwątpienia, spot-

[1]) Oba tomiki wyd. Mortkowicza, 1936.

kane jednak z odwagą, zmieniają się w zwycięstwa („Bunt jesienny“).

Obrazy Staffa mają subtelność i trafność, siłę i tę dziwną skończoność konturu, która jest tajemnicą tworzenia. Staff nie przestał tworzyć. Jego poezje wypływają z najszczerszego wewnętrznego przeżycia, ani jeden rym nie jest sztucznie dobrany, ani jeden rys nie wynika z kompromisu z efektem.

Najpiękniejszy, czysty, prosty i przedziwnie pełny w dźwięku polski język Staffa doszedł już do granicy doskonałości („Niech płoną rudo-czerwone lasy wieczorne”, albo: „Lądy dzikiego piękna, morza tryumfalne...”). Staff umie uniknąć przeładowania barw, zagmatwania linii kompozycyjnej.

Kolory Staffa są niby farby mistrzów włoskiego odrodzenia, i piękno jego obrazów równie pełne ducha.

„Napój cienisty” Bolesława Leśmiana sprawia czytelnikom „Łąki“ i „Sadu rozstajnego“ żywy zawód. Głównie dlatego, że nie przynosi nowych zdobyczy. A przecież sztuka jest wiecznem zdobywaniem światów, form, środków wyrazu. Leśmian przebywa w swoich ulubionych regionach, pełnych dziwacznych pół-bajecznych stworzeń, Srebroniów i Znikomków, gadających roślin, ożywionych trupów. Tematy powracają wciąż te same, dobrze nam znane z poprzednich tomików, ale brak nowych opracowań, niema w „Napoju cienistym“ takich pełnych czaru pejzaży, ani takich słońcem rozpalonych bajek, jakie były w „Łące“. I metafizyczne motywy zbladły—gdzie „Król Asoka“, albo w „Przeddzień swego zmartwychwstania“? Zmysłowość także pozostała bez zmiany; jedynie zwróciła się więcej ku perwersji, zawsze z zabarwieniem niesamowitości („Dziewczyna przed zwierciadłem“).

Dominującem wrażeniem jest poczucie pustki, beznadziejności, w obliczu śmierci ogarnia poetę strach przed nieznanem istnieniem zaświatowem, najczęściej zaś w związku z koncepcją śmierci, związane są obrazy trupów, pleśni, cielesnego rozkładu. Niesamowite, ulubione przez Leśmiana, wątki, wyraźnie się zwracają w kierunku grozy groteskowej, przedmiotów martwych z ich poza ludzkiem bytowaniem („Lalka“), kalek i potworów różnego gatunku. Najlepsza z tych rzeczy to „Panna Anna“.

Folklor, balladowe motywy, związane z ciągłemi metafizycznemi zestawieniami czasu, barwy i przestrzeni, niespodziewane sploty pojęć różnorodnych, nie mogą stworzyć złudzenia bogactwa i pełni. Zdarzają się dziwactwa językowe, niczem nieuzasadnione, jak: „Ziemi twardź“, „chłopal“, „zdrzem“, „brzydź“ (rzeczowniki).

Trzeba przyznać Leśmianowi, że umiał stworzyć swój własny świat, co dla artysty jest rzeczą nieskończenie ważną. Ale obecnie świat ten przeżywa kryzys wyobraźni, zanik kolorów. Poeta sam to czuje:

„I jam niegdyś był inny. Dziś jeszcze się złocę,
A złociłem się bardziej...“ (str. 73).

I znowu: Módl się do Korala o wiersz barwny! Zszarzały dusze i ogrody (71). Ludzki smutek z powodu mijania istnienia przebija się przez barok formy.

Wewnętrzna postawa Leśmiana jest pełna niepewności. Bóg stał się dlań rodzajem istoty mitycznej, czemś pośredniem między leśnym duchem a figurą retoryczną, intuicyjno-religijne przeżycie częste w poprzednich utworach, zanikło, ustępując miejsca zwątpieniu.

Tomik Leśmiana jest świadectwem nadmiernego rozwoju maniery poetyckiej, słownego baroku. Forma nie ma pokrycia wewnętrznej prawdy, a sama sobie nie wystarcza.

HELENA RADZIUKINASÓWNA

„DIOGENES W KONTUSZU“ BERENTA

PO PRZECZYTANIU ostatniej książki Berenta „Diogenes w kontuszu” raz jeszcze umacnia się w człowieku przekonanie, że miarą wielkości, a więc i trwałości pisarza jest jego zdolność dostrzegania w zmiennej fali zjawisk życiowych elementów trwałych. Takim np. pisarzem jest *par excellence* Mickiewicz, posiadający przedziwną zdolność genialnego podpatrywania i genialnego wcielania w doskonałym kształcie artystycznym „wiecznej polskości“, wyłowionej ze zmiennych form naszego życia narodowego pierwszej połowy XIX w.

Takie również selekcyjne oko, na mniejszą oczywiście miarę skrojone posiadał publicysta i artysta osiemnastowieczny Fr. Jezierski, główna postać dzieła Berenta. Słusznie tedy Berent pisze — z okazji jednego z utworów Jezierskiego — o takiem głębokiem wejrzeniu jego w istotę rzeczy, że w wielu ustępach jego pism wystarczy zamienić słowo „szlachta“ dzisiejszem ogólnem „burżuazja“, zamiast „pospólstwo“ czytać „lud“, aby rzecz pozostała niezmieniona po dziś w swej treści człowieczej. „Człowiek wieczny“ Mickiewicza, realizowany na gruncie polskiego bios i ethos.

„Końcem wszystkich rządów krajowych winien być człowiek i jego zaopatrzenie w prawo obywatelskie. Kto by nad ten najokazalszy obowiązek rządu wywyższał choćby obronność kraju, byłby takim prawodawcą, jak ktoś co przepłaca futerał, nie bacząc na zawartość“. Ta refleksja o futerale i zawartości, jakby żywcem przeniesiona na dzisiejszy grunt, gdy się jeszcze niewszędzis rozróżnia pojęcie formy.

Gdy się czyta takie np. zdanie Jezierskiego, że pospólstwo utrzymuje charakter narodu, zachowuje rodowitość języka ojczystego, bogactwo i moc państw składa“, jakby się czytało w nim myśl socjologów polskich od „romantycznego” Dołęgi Chodakowskiego, poprzez „pozytywistycznego“ Balickiego aż po czasy dzisiejsze. Aforyzm Jezierskiego „wszystko jest z pracy“ wyda się dziś może truizmem. Ale przypomnijmy sobie, ile trudu kosztuje wywalczenie dla tego truizmu prawa obywatelstwa w chwili obecnej, kiedy od pracy więcej znaczy spryt, od rzetelnego wysiłku — pozór „genialnego“ wyczynu. A te świetne obserwacje naszych miasteczek „zaludnionych mrowiem obcej mowy, obyczaju i wiary, jak gdyby *coloniae* Palestyny“ jakby dziś kreślone przez obserwatora polskiej rzeczywistości małomiasteczkowej. A weźmy pyszne kontrefekty osiemnastowiecznych *grand*-dam Jezierskiego, które przecież dzisiaj najspokojniej spacerują po ulicach Warszawy królują w salonach stołecznych.

Wiele podobnych obserwacyj zawierają pisma tego niewątpliwie wybitnego publicysty epoki sejmu czteroletniego, nie tyle może „Diogenesa w kontuszu“, z którym Jezierskiemu było chyba nie do twarzy, ale wcale niezłej odmiany polskiego Larochefoucauld, który nie bez wielkiej racji pisał — niewątpliwie o sobie: „Nie masz szlachetniejszego ani ciekawszego widoku, jak żeby ludzie przypatrywali się ludziom“.

Zasługą Berenta jest plastyczne ukazanie nam Jezierskiego, jego zmartwychpodniesienie w okazałości i blasku jego wnikliwego, głębokiego spojrzenia na świat. Berent wykazał dobre wczucie osiemnastowiecznej przeszłości naszej, układając swą *vie romancée* o Jezierskim, jakby na marginesie ostatnich prac naukowych o tym pisarzu. Kto je zna, ten jednak powie, że Jezierski Berenta zmartwychwstał nie cały. Dlaczego np. nie wyzyskano jego wystąpień przeciw Branickiemu, typowi o wiele świetniejszemu od kasztelana Jezierskiego i to właśnie dla użytku romansopisarza?

Kunsztownie składa Berent gmach swego romansu — może nieraz za kunsztownie—z cegiełek, pracowicie zewsząd zbieranych. Informuje o źródłach przygodnie, tu i owdzie,

Ale dla czego nie pisze o wszystkich, o tych szczególnie, z których czerpie, że się tak obrazowo wyrażę, pełną dłonią, choć niedość uważnie. Właśnie dlatego trudno jest zdobyć się na pełny szacunek dla wysiłku twórczego Berenta. AL. KRAŚ.

P. S. O sprawie autorstwa „Katechizmu o tajemnicach rządu polskiego", który został przez Berenta nieostrożnie i przedwcześnie odebrany Jezierskiemu, napisze się osobno.

RUCH WYDAWNICZY

W artykule „Czy Mickiewicz znał Pieśń o żubrze" (w nr. 12 „Myśli Narodowej") J. Birkermajer wymienił parę studiów literackich Kasprowicza, dotąd jakoś nigdzie nie ogłoszonych. Prof. Pigoń zwraca nam uwagę, że co do jedego z tych studjów zaszła tu pomyłka, ponieważ rzecz o prometeizmie drukowana była w Kurierze Lwowskim" w r. 1915 od nr. 497 z 24.XII i w r. 1916 do nr. 39 z d. 29.I. Tytuł tego studium „O Prometeuszu i prometeizmie w poezji".

*

Nakładem Instytu Śląskiego ukazał się szósty tom „Biblioteki Pisarzy Śląskich" i obejmuje poemat Krzysztofa Wintera p. t. „Kuźnic śląskich i kopalń opis i oznaczenie krótkie". Nieznany prawie ten utwór, pochodzący z połowy XVI wieku, ciekawi czytelnika swoją świeżością i stanowi w literaturze ogniwo poprzedzające traktat Roździeńskiego, „*Officina Ferraria*", wydany jako IV tom „Biblioteki pisarzy śląskich. Oprócz tego tekstu Wintera mieści się w książce wiersz pochwalny, jakim poprzedził poemat wydawca drugiego wydania, Melchior Sewerus, w r. 1582.

Obszernemi wiadomościami o życiu i twórczości Wintera oraz Severusa, jak również licznemi wyjaśnieniami opatrzył obecne wydanie Wincenty Ogrodziński.

Cena broszurowanego egzemplarza wynosi zł. 2.50, oprawnego zł. 4.

MUZYKA

ZNOWU GUZIKI THALBERGA...

SIĘGAM pamięcią wstecz i przypominam sobie, swoje wrażenie z poprzednich konkursów chopinowskich w Warszawie. i znowu na myśl przychodzą mi owe brylantowe guziki Thalberga, które dla Chopina były symbolem żydowskiej błyskotliwości, płytkiej i nachalnej, nieznośnej, legitymującej się przedewszystkiem t. zw. „olśniewającą" techniką. Wydaje mi się, że członkowie *jury* winni znać nietylko utwory muzyczne genialnego twórcy. Możeby wówczas nie było nieporozumień, lub—jeśli kto woli—pomyłek, tak, jak obecnie przy rozdawaniu nagród, gdy darowano dwie pierwsze nagrody żydom z Z. S. S. R., chwalącym się opanowaniem instrumentu, techniką rzeczywiście ogromną, ale i na tem koniec. Mało. Chopina należy odtworzyć, albo interpretować. Odtworzenie jest zadaniem niezwykle trudnem, dla wielu wręcz niewykonalnem, pozostaje więc interpretacja. Wykonanie przez Anglika Dossona sonaty *h-moll* nazwać można wspaniałem—to pewna, że interpretacja młodego pianisty posiadała odrębny charakter. Uwspółcześniała romantyczne formy z całym jednoczesnym pietyzmem dla treści. Przywodziła na myśl Webstera. I tak można. Nie można natomiast urządzać popisów akrobatyki wyłącznej. Chociażby się to podobało i bardzo sędziowskiemu kompletowi.

Reprezentacja polska składała się w połowie z żydów. Niektórzy skłonni byli traktować ten stosunek jako nawet sukces. Co więcej świetny, utalentowany Małcużyński odznaczony został trzecią nagrodą. I to niektórzy skłonni byli poczytywać za sukces. Ekier zajął miejsce ósme, Grzybowski jedno z dalszych. Jeśli konkurs chopinowski jest wielkiem wydarzeniem muzycznem, a jest niem niewątpliwie, to raz wraz udowadniamy światu, że my, właśnie my Polacy nie potrafimy grać tak bardzo swojego twórcy, co stanowi dla tego świata prawdziwą rewelację; dotychczas, bowiem wszyscy byli przeświadczeni, że Chopina poprawnie grać może każdy, prawdziwie jedynie Polak.Sami temu zaprzeczamy.

Czy więc czasem propagandowy sens imprezy nie mija się z celem? To pierwsze a drugie — czy rzeczywiście inni tak odczuwają ducha twórcy mazurków, że trzeba ich koniecznie uwieńczyć laurem? Nie. Mocne słowo „nie" powiedziało nagrodzenie ostatnio dwuch żydów bolszewickich, oraz nagrodzenie kiedyś Imre Ungara, którego interpretacja jest zaprzeczeniem zdań „Naszego Przeglądu" i „Momentu', wypowiadanych radośnie z okazji wyników tegorocznego konkursu. „Różnicę rasy—czytaliśmy—rozpoznaje się przez języki. A mowa jest jedna i ta sama dla wszystkich: mowa Fryderyka Chopina. Warto zwrócić uwagę, że jeszcze na długo przedtem, zanim dr Zamenhof ułożył swoje esperanto, wynaleźli ludzie pismo czytane na całym świecie przez wszystkie narody, przez wszystkie rasy. I oto w takiem dzisiejszem piśmie klinowem wyrażona została twórczość Fryderyka Chopina. Gdy zjawi się prawdziwy lektor tego pisma, usłyszymy tyle liryzmu, tyle patosu, tyle ludzkości, że to zagłuszy rasizm z ich ordynarnym kwakiem i paplaniną.

Madziarzy, Mongoli, Semici, Aryjczycy — kogo to obchodzi, czem oni są. Istotne jest przecież tylko, co mówi ich talent i ich umysł. I talent i umysł są same dla siebie rasą. Z rasizmem nie mają one nic do czynienia.

Pierwsze dwie nagrody w Konkursie chopinowskim otrzymały dzieci żydowskie.

I jeżeli to jest „rasa" — ten fakt, że nikt tak dobrze nie może odtworzyć Chopina jak żydowski chłopiec lub dziewczyna..."

Oto wynik wielkiej propagandowej imprezy. „...nikt tak dobrze nie może odtworzyć Chopina, jak żydowski chłopiec lub dziewczyna..." Nieprawda. Po stokroć nieprawda. Ci co mają możność, a co zatem idzie — szczęście nieskażonym instyktem odczuwać piękno oraz istotę muzyki twórcy poloneza as—dur, poloneza którego żaden żyd dotychczas nie potrafił prawdziwie odtworzyć ci wszyscy mogliby powiedzieć jak bardzo ich irytuje, nie zdanie „Momentu" oraz „Naszego Przeglądu", przejaw swoistej zupełnie megalomanii wyrosłej na kompleksie niższości, niezrozumiałym dla nas i przeto ogromnie przykrym, ale jak bardzo irytuje traktowanie Chopina podobnie do jakiegoś trapezu w cyrku, na którym można ukazać pełnię akrobatyki wyuczonej latami mozolnie, pracowicie. Wiemy, że niektórzy członkowie jury nie byli w stanie odczuć nieprawdy płynącej z pod żydowskich palców — oto jedna z przyczyn triumfu rozmaitych Jakowów Zaków czy Roz Tamarkinawych.

Wreszcie — przyjrzyjmy się uczelniom kształcących naszych pianistów. Że nie we wszystkich panuje duch polskości a nawet, że są takie, których „rozwój" czyni wrażenie planowej judaizacji — o tem pisałem już kiedyś i niejednokrotnie. Oczywiście bez skutku, bo możliwości działania, skutek będzie dopiero udziałem dnia jutrzejszego, na który obecnie pracuje się nie tylko piórem... Ale pomijam już tę kwestię — czy uczelnie polskie należycie przygotowały swoich wychowanków do rozgrywki konkursowej? Czy w uczelniach naszych panuje duch prawdziwego pietyzmu w stosunku do genialnego Chopina, jego życia i twórczości? Oczywiście nie myślę o sentymentalnym gatunku uczucia. Przyglądając się wynikom i to nie tylko rozgrywek tegorocznych, należy wyraziś słowa wątpliwości. I niechaj one to bodaj będą jedyną korzyścią niefortunnie zakończonej niedawno imprezy. Oczywiście korzyść będzie nie w negatywnzm sformułowaniu, ale w pozytywnie pojętym rachunku sumienia. Zająć się nim powinni bardziej odemnie do tego powołani.

Celowość istnienia międzynarodowych konkursów pianistycznych w Warszawie..., ależ oczywiście, tylko oczywiście nie w warunkach dzisiejszych. Dzisiaj lepiejby te dziesiątki tysięcy przeznaczyć na kształcenie naszych sił, na pogłębianie swego stosunku do Chopina co pozwoli wiele zrozumieć, wiele nauczyć, co pozwoli — i to tak ważne! — spojrzeć należycie na istotę narodowej twórczości.

Inny projekt — owe dziesiątki tysięcy przeznaczyć na fundusz sprowadzenin do Ojczyzny zwłok Fryderyka Chopina. Czas już chyba najwyższy.

W. NARUSZ

POKŁOSIE

WĘDRÓWKI WEWNĘTRZNE

OGŁOSZONA obecnie statystyka ruchu ludności we Francji podaje interesujące dane o wewnętrznej imigracji, o wzmożonym ciągu ludności wiejskiej do miast, a więc i stopniowej zmianie struktury społecznej. Rozrost wielkich miast odbywa się, jak wiadomo, całkowicie dzięki przypływowi ludności z prowincji; skład ludności Paryża jest pod tym względem bardzo charakterystyczny. Przed stu laty połowę ludności stanowili urodzeni paryżanie, z dzisiejszej zaś już tylko trzecia część ujrzała światło dzienne w Paryżu, dwie trzecie, to ludność napływowa. Gdy się zważy, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat Paryż nie przechodził żadnego nadzwyczajnego wzrostu pod względem zaludnienia, utrzymywał się raczej na jednym poziomie, to wystąpi bardzo wyraźnie fakt właściwego wymierania ludności wielkich miast, zasilanej nieustannie dopływem zewnątrz.

Niedawno jeszcze Francja cieszyła się harmonijnym podziałem ludności między wieś i miasto, obie te kategorie były sobie niemal równe. Dziś to się zmienia szybko, wieś francuska wyludnia się, a jak się okazuje ustawodawstwo ostatnich miesięcy dało temu procesowi nową podnietę. Mianowicie po wprowadzeniu 40-o godzinnego tygodnia pracy zaczęły ze wsi masowo napływać podania o pracę do kolei i instytucji przemysłowych. Ograniczenie godzin pracy obudziło z jednej strony na wsi nadzieję łatwiejszego znalezienia zajęcia w mieście, z drugiej zaś uczyniło to zajęcie jeszcze bardziej powabnym, zwłaszcza dla pracujących na swoim gospodarstwie i zmuszonych wskutek tego pracować bez oglądania się na godziny ustawowe. Ten 40-o godzinny tydzień w rolnictwie ma być zmieniony i zastąpiony przez ryczałt 2000 godzin pracy w roku, a to w tym celu, żeby umożliwić dłuższą prace w tygodniach żniw, winobrania i t. d.

Tak czy owak silny już dotyczas ciąg do miasta zyskał nowy impuls. Niedawno krytycznym okresem wyboru między wsią i miastem była służba wojskowa. Bardzo wielu wieśniaków po rozejrzeniu się w warunkach bytu miejskiego nie wracało już na wieś, a znany jest fakt, że pewien poseł do parlamentu oparł na tej tendencji młodzieży wiejskiej swą karierę i murowany, wiecznotrwały mandat: oto zapewniał każdemu młodzieńcowi ze swego okręgu wyborczego posadę w mieście, o ile po skończonej służbie wojskowej nie zechce na wieś wracać. Naturalnie tak cennego posła nikt przy wyborach zwyciężyć nie mógł, a ostatecznie umieszczenie kilkuset nawet ludzi rocznie na kolei, poczcie, czy innych biurach nie przedstawiało trudności dla wpływowego człowieka, który tym rzeczom specjalną uwagę poświęcał.

Ankiety, przeprowadzane przed wojną wykazywały, że ten pęd do miast ogarnia przedewszystkim bezrobotnych, lub małorolnych, a jako powody podawano ciężką pracę na roli, małe widoki na usamodzielnienie się i bardzo często ten powód, że miejska narzeczona nie chciała na wieś się przenosić. Ogromny rozrost biurokracji, stwarzający masę stanowisk drobnych urzędników i podurzędników, dających nadzieję osiągnięcia wymarzonej renty w postaci emerytury wzmógł ten prąd i sprawił, że z czasem brat, zostający na gospodarstwie na wsi, zaczął się uważać za pokrzywdzonego, gdyż musiał oddawać część zysków tym, którzy i tak dorabiali się na lekkim chlebie miejskim, gdy on musiał ciężko na roli pracować. Dziś ten chleb wydaje się jeszcze lżejszym i jak widzimy pokusa działa masowo nawet na gospodarujących na swoim.

Następuje jakaś zasadnicza zmiana w usposobieniu ludności. Urok niezależności na swojej zagrodzie przestaje działać, zwyciężają widoki lżejszej pracy i swobodniejszego życia miejskiego, chociażby nie tak samodzielnego. A przecież wieś francuska jest przedmiotem ciągłej opieki ze strony państwa, produkcja rolna jest chroniona przed obcą konkurencją, a miarą starania o wygodę życia na wsi może byc kolosalny wysiłek finansowy, na jaki się zdobyto w celu elektryfikacji wiejskiej. Po wojnie już wydano na ten cel około 6 miliardów franków, a rezultat jest taki, że obecnie zaledwie 7 procent wsi nie posiada jeszcze elektryczności, t. zn., że cała prawie wieś francuska może dziś korzystać z tego udogodnienia życia i pracy, jaką przynosi ze sobą prąd elektryczny. Mimo to ludność ze wsi ucieka.

Gdyby przyrost ludności na wsi był znaczny, nie byłoby w tym nic groźnego, ale gdy jest niezmiernie mały, następuje w niektórych okolicach, zwłaszcza na błogosławionym południu, wprost wyludnienie. Jest to więc zjawisko bardzo poważne, wysycha bowiem źródło uważane dotychczas słusznie za podstawę i rezerwę siły i zdrowia narodu. Są kraje, jak Anglia i Niemcy, gdzie proces ten zaszedł już dalej, ale nikt tam tego obecnie nie uważa za korzyść, przeciwnie, robione są wysiłki, aby bieg spraw odwrócić.

ARGUS

NA MARGINESIE

— Co to jest właściwie „totalność"?

— To trudno powiedzieć, ale dam ci przykład. Gdyby ze wszystkich drzew w kraju zrobić jedno drzewo, ze wszystkich wron zrobić jedną wronę, gdyby ta wrona siadła na tem drzewie...

— Już wiem, wiem. Ale ci radzę — nie siadaj pod tą wroną...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM